Ner 2. Kraków, dnia 16go Lipca 1879. Rok X.
(Od założenia pisma).

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

„Włościanin“ wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca. „Włościanin“ kosztuje rocznie złr. 3 w. a., półrocznie złr. 1 cen. 50, kwartalnie cen. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie złr. 5, półrocznie złr. 2 cent. 50, kwartalnie złr. 1 cent. 25. — W Prusach i w Poznańskiem kosztują oba 4 talary. W Cesarstwie Rosyjskiem razem kosztują oba rocznie 6 rubli sr., zaś pojedynczo 3 Rsr. i 50 kop. — Manuskrypta nie zwracają się.

(Zagroda wychodzi 8go i 24go każdego miesiąca.)

Kalendarz.

17. C. Aleksego w. i Berty p.	21. P. Kamillą i Daniela pror.
18. P. Szymona z Lipnicy w.	22. W. Maryi Magdaleny pok.
19. S. Wincentego à Paulo w.	23. Ś. Teofila i Apolinarego b.
20. N. Czesława i Kas.	24. C. Krystyny panny.

Ogłoszenia i inseraty przyjmuje się po 5 ct. od wiersza. **Listy frankowane lub przekazy pocztowe** należy adresować: Do Redakcyi „Włościanina“ i „Zagrody“ przy ulicy Floryańskiéj Nr. 371 pierwsze piętro.

Prenumeratę przyjmuje: Ajencya główna na Cesarstwo Rosyjskie w Księgarni Wgo Ferdynanda Hösicka w Warszawie.

Zbiór posiewów czyli żniwa.

(przez starego Agronoma).

Nie mamy tu na myśli tyle strony materyalnéj, zatem straty lub zysku w najprozaiczniejszem słowa znaczeniu, ile inne straty lub zyski, których dobry Pan, dobry Ekonom, Rządca lub jakikolwiek choćby najniższy Oficyalista nie tyle zbiorom czyli żniwom ile dworowi, wiosce a nieraz całej okolicy przysparza, kiedy się zachowuje tak, jak nie należy lub tak jak się godzi.

Przyznajemy, jak już przyznaliśmy, że natura naszego ludu jest leniwa, a robić „na pańskiem“ uczciwie, to tak jakby się coś niedorzecznego powiedziało, lub jeszcze czegoś niedorzeczniejszego wymagało. Wszak to weszło w przysłowie, kiedy się komu perswaduje, żeby robił uczciwiéj i sumienniéj, to się mu mówi: „robisz bracie jak na pańskiem“, tylko się oglądasz za słońcem — byle ci dzień zeszedł a ty abyś dostał twoją płacę i t. p. Otóż znanem jest u nas powszechnie, „że jak na pańskiem, to się ot tak niby spycha, spycha, byle zbyć.“ Wynik z tego, że nieraz trzeba swoją własność właścicielowi wziąć w obronę przed oszustwem i marnowaniem czasu przy pracy, po prostu Pan, Ekonom, Rządca, Polowy musi zatwierdzić swoją władzę i łagodnie i ostro do robotników przemawiać. W tym punkcie winnym jest ten, co jest bez sumienia na zogonie lub przy kosie czy przy motyce lub grabiach, a jest rzeczą prostą, jeżeli się Pan lub jego zastępca sroży lub gniewa.

Przeciw też należytemu dochodzeniu pracy, za którą się płaci drogo i ciężko, nie mógłbym się odezwać, bom sam był skrupulatnym w żądaniu pracy, ale powstaję przeciw nadużyciom nie tyle ze strony Panów Dziedziców samych, ile ze strony ich administratorów, ekonomów, rządców, pisarzy aż do polowych, którzy nie znają miary w przekleństwach, w obrzydłych jakichś nazwiskach, niemoralnych historyjkach i dykteryjkach lub jeszcze w czemś... gorszem. W ten sposób moi mili Panowie daleko nie zajdziemy, jeżeli to, co ksiądz z ambony i z konfesyonału, w nauce szkolnéj i niedzielnéj buduje, czego nauczyciele po szkołach, a rodzice przy pacierzach rannych i wieczornych nauczają, Wy swojem brutalnem obejściem rujnować będziecie. Czasem najlepszy chłopiec i najlepsze dziewczę wyjdzie na łan pański do żniwa, i ma ten wysoki respekt dla dworu i dla tych, co surduty noszą, a tymczasem paskudne przekleństwa, wyuzdane i rozwiozłe przymówki lub czyny panów polowych, pisarzy, ekonomów i rządców, którzy ludzi pilnują, zdzierają tę piękną sukienkę wstydliwości i niewinności — i te czyste dusze razem z zapłatą wieczorną za robotę, biorą zapłatę za niewinność, za cnotę swoją, którą tu straciły, gdzie jej przykład i potwierdzenie znaleźć były powinny.

A czy to na tem koniec? Czy prócz zatraty duszy niewinnego parobczaka lub niewinnéj i czystéj dziewicy, nie następują inne straty, a straty nieobliczone? To zupełnie inne pytanie. Więc o tem choćby słówkiem.

Że im moralniejszy robotnik, tem lepsza i uczciwsza robota, tego podobno nikt mi nie zaprzeczy. A jeżeli tak jest, jeżeli na to wszyscy się piszemy, toć nie tylko rzeczą obojętną, ale w najwyższym stopniu obchodzącą, po prostu jest obowiązkiem choćby dla własnego interesu

przedewszystkiem dworów i dworzan szerzyć moralność wśród robotników i najemników. A jak to uczynić?

Wiele jest dróg i sposobów na to. Na łanie zacząć się powinno choćby od tego, żeby ludu nie psuć, nie obrażać jego wstydliwości i niewinności przez paskudne i szkaradne przezwiska lub porównania, przez przekleństwa, pomsty, obelżywe wyrazy, co wszystko nie nastąpi, gdy Pan Dziedzic i Pani Dziedziczka zwrócą uwagę, jakimi się otaczają ludźmi zostającymi pod ich rozkazami, a w codziennem z ludem zetknięciu. Łatwo przejrzeć szczególnie Wielmożnéj Pani, co to są za ludzie polowi, tacy pisarze, rządcy i ekonomowie — i skarga sprawdzona w téj mierze czy to przeciw niższym czy wyższym oficyalistom powinna pociągnąć za sobą ostrą naganę i skarcenie, a wrazie powtórzenia odprawę ze służby. Więcej Dziedzic zyska, kiedy odprawi niegodnego oficyalistę ze służby, niż kiedy tenże lud psuje a lud roboczy, lud, który jest mu pomocą i z którym zawsze pozostanie w takich stosunkach.

Zresztą jeżeli oficyalista jest wyuzdany, żyje bez Boga, to on nie jest i nie może być prawdziwie użyteczny swemu panu, owszem to jest najniebezpieczniejszy człowiek — i taki potrafi cały pański majątek jeżeli nie zrujnować, to dobrze nadszargać, bo on rozporządza ludźmi stu lub więcéj, a przez ile to tygodni, dni — ile tam pracy pańskiej pójdzie marnie, ile ludzie godzin daremnie wystają — a kto to wszystko pokrywa? Nikt, tylko Pan Dziedzic — tylko jego kieszeń.

Błogosławić natomiast te dwory, a przybywa ich dzięki Bogu coraz więcej, co już trzymają się zasady postępowéj, ludzkiéj, a która brzmi: *„Ty oficyalisto rób i obchodź się z ludźmi najemnymi dobrze, bo inaczej cię napędzę“*, a nie tej dawnej: *„Najemniku bestyo! rób, bo cię wypędzę z pańskiego!“* I dobrze z tem nowem hasłem i ludowi i dworowi, a tylko trochę powściągliwości, trochę hamulca nałożyć sobie muszą oficyaliści Téj też zasady żądać trzeba od panów ekonomów, rządców, pisarzy, polowych — a lud będzie chętnie pracował na łanie pańskim i będzie go tam coś ciągło, bo i ten łan pański, i ta ciężka praca, i ci surdutowi ludzie stojący na skwarze słońca, na deszczu lub wietrze przyczynią się do podniesienia moralnego robotników i najemników — a czegóż wielkiego do tego potrzeba? Oto dobréj woli ze strony Panów Dziedziców, że sobie tak życzą i że tak być musi, aby lud pracujący nie odchodził codziennie więcéj zepsuty i gorszy aniżeli przychodzi na zagon. Powtóre potrzeba temu rządcy lub polowemu wiedzieć, że ten lud pracujący jest jego bratem lub siostrą, a choć on w kapocie lub w surducie, a najemnicy w siermiędze lub w guni i chodakach grubych, to serce może być czystsze i szlachetniejsze niż pod surdutem, i że wszystko to, co słyszy robotnik lub najemnik, składa się na sąd o takim jegomości i że przy sposobności nie daruje mu jakie wieśniacze pióro i wieśniacza gazeta. Patrzcie moi panowie, cóż Was kosztuje dobre i poczciwe słowo do robotników? Wszak tyle ile złe i sprosne. A kiedy tak, to rzeczą jest chyba dzikiego i zepsutego serca a głupiego umysłu, aby się nie można dobrze i z godnością obchodzić z ludem. Jeżeli wszyscy pragniemy oświaty ludowéj, jeżeli różnémi drogami do téj oświaty zdążamy, to nie mały i nie ostatni jest ten posterunek, kiedy się kilka całych miesięcy dzień w dzień spotykamy z temi samemi osobami. Co tu może dobry przykład, dobre słowo, należyte obchodzenie się z ludźmi na robotę przybyłymi, to doprawdy ledwie pomyśleć można.

„Wielebni Proboszczowie znowu tem grzeszą, że kiedy od południa najmują, to zbyt wczas, a kiedy od południa rozpuszczają ludzi, zbyt późno pozwalają czy każą dziadowi dzwonić na południe,“ opowiadał mi pewien włościanin, mój rataj późniejszy — i ani kilka lat nie pomogło mu perswadować, że to być nie może, że się chyba pomylił. Ale pewnego razu były żniwa mokre, każdy chwytał jak to powiadają z pola jak kradzione przed słotą. Południe dobiega, dzwonią na Anioł-Pański w kościele, a mój Maciek powiada do mnie: „Aha! teraz już dzwonią, bo ksiądz proboszcz ma wiązać jęczmień i ludzi zmówił, a bydło jeszcze w polu, i my tu pokładamy ściernisko.“ Wyjmuję więc zegarek i mówię: „Ot Maćku to ja przewlekam, boście już od półgodziny powinni południować, a bydło dla tego nie spędzają, bo jeszcze nie dzwoniono na Anioł-Pański. Widzisz jak się mylisz, i tak zawsze się myliłeś.“ Ale chłop uparty i teraz ruszył ramionami jakby mówił „wierzy, kto musi!“ Czemu był taki uparty, nie wiem.

Kończymy to pisanie uwagą, która pewnie bez wrażenia przejdzie, iż jakby Dwory ogromnie wiele zyskały, gdyby potrafiły u robotników i najemników obudzić to zaufanie szczere i prawdziwe, gdyby ich przywiązały do siebie! Daj nam Boże doczekać, aby polski lud z polską szlachtą razem na łanie z Bogiem i ku pożytkowi własnemu orali, siali i zbierali — a w gromadzie radzili wspólnie z braćmi Włościanami,

jak w kościele przystępują razem do tego samego Pańskiego stołu.

Pozwólcie jeszcze kiedy staremu pomarudzić.

Orle gniazdo.

Biały orzeł swego rodu
By uwiecznić w kraju znamie,
Zahartować dzielne ramie,
Bierze orle z gniazda płodu,
I podnosi je wysoko,
By patrzało oko w oko,
W promień słońca okiem wiary.
A szybując z nim w przestworze,
Dopatruje w światła zorze,
By nie zamknął swe źrenice,
Na prawd wiecznych obietnice,
Błogosławieństwa, lub kary.
Gdy też patrzy orle młode,
Czystém okiem w słońca twarz,
W nim pociechę i osłodę,
Z syna swego ojcze masz.
W nim zwycięztwo widzisz swoje,
A pasując na rycerza,
Uczysz męztwa i pacierza,
Znosić trudy, prace, znoje,
Wielbić krzyża święty znak,
Bo on orłów białych szlak,
I zwycięztwa znak.
Niechże orlę zamknie oko,
Przed jasnością prawdy słońca,
Już nie wzleci z niém wysoko,
Bo nie licząc między syny,
Zetrze znamie zeń rodziny.
Wrzuci w przepaść, a... bez końca.
A z orłów gniazda, orlich szponów,
Spada ćma kawek i gawronów.

Antoni z pod Krzeszowic.

Sławne niewiasty polskie i ruskie.

W owych prastarych czasach, kiedy to zanosiło się na wielką wyprawę chrześcijaństwa przeciw Turkom w Ziemi świętéj, kiedy głos nieszczęśliwych coraz bardziéj się podnosił i dochodził do Europy, kiedy to we Francyi, Niemczech, we Włoszech powstawali wielcy rycerze, wielcy papieże, wielkie cnoty — otóż w tym czasie byli i na ziemiach słowiańskich wielcy ludzie jak święty Wojciech, wielcy wojownicy jak Bolesław Chrobry i Włodzimierz Wielki, niewiasty wielkiego serca, wielkiéj cnoty i wielkiego poświęcenia. W tych prastarych czasach Polacy i Rusini nie stali jak dziś odosobnieni lub otwarcie przeciwko sobie, ale czuli tętno pobratymczego i bratniego serca, boć to Słowianie jednéj przeszłości, jednéj syny ziemi i często gęsto szlą zbrojną pomoc z nad Wisły i Odry nad Dniepr, z Krakowa do Kijowa i odwrotnie. Ale nie tylko w sprawach publicznych, sprawach wielkiéj wagi wzajemnie niesiono sobie pomoc, ale królowie polscy brali sobie za żony księżniczki ruskie i wchodzili przez te związki w prywatnem swem życiu z Rusią w najserdeczniejsze stosunki. — Opowiadanie o Małgorzacie z Zembocina przypada właśnie w te czasy, kiedy to na tronie polskim siedziała obok króla Bolesława Śmiałego księżniczka ruska Wisława, i kiedy ten sam Bolesław, jako spokrewniony i skoligacony z książęty kijowskimi niesie zbrojną swą pomoc Izasławowi kijowskiemu, który z braćmi i podwładnymi popadł był w rozterkę, a która potem w rokosz wybuchła. — Więc posłuchajcie, co opowiada nieodżałowanéj pamięci autorka Hoffmanowa o téj Małgorzacie (według warszaws. wydania):

I.

MAŁGORZATA z ZEMBOCINA.

(Około r. 1077).

Już od sześciu miesięcy Kijów był wzięty, Izasław na tron Ruski wrócony, srogie zwycięzców i zwyciężonych zagojone rany, a Bolesław Śmiały nie myślał jeszcze wracać do ojczyzny. Liczne nad Czechami, Morawami, Pruskim i Węgierskim ludem zwycięztwa, wspaniałe wsparcie trzem nieszczęśliwym książętom podane, Kijów dwa kroć wzięty, odnowione na złotéj bramie tego miasta Chrobrego dzieło, powszechnie uznana odwaga, wszytko Bolesława do najwyższéj wiodło chwały; byłby jéj dopiął, byłby jednym z najsławniejszych królów naszych, gdyby ta prawda przytomną mu była: „że kiedy fortuna na najwyższy wyniesie stopień, cnotą tylko na ślizkim tym szczycie utrzymać się można“. Doświadczywszy już raz ujmujących na pozór powabów rozkoszy, już dawniéj pokonany nadzwyczajną Kijowianek pięknością, zamiast prawdziwe okazać męztwo, uciec od czarujących zbytku i rozkoszy sideł, został Bolesław; — i bohatera, którego srogie miecze, mnogie hufce zachwiać nie zdołały, piękne oczy zwyciężyły. Ów mężny rycerz, dawniéj jedyną rozrywkę znajdujący w boju, baczny wódz wojska swego, teraz bez ustanku w towarzystwie kobiet, nie postanie w obozie; zniewieściały, oddany zabawom, rozpuście, nie zdołałby może dźwignąć miecza, którym nieprzyjaciół gromił. Występek zmienił i upodlił go zupełnie! Lecz nie długo dały się uczuć okropne i nieochybne zbrodni skutki; przykład zawsze największym był mistrzem. Wodzowie, żołnierze, zaczęli naśladować występnego monarchę, i choć sami równym jak on oddawali się bezprawiom, przestali go szanować, bo już w nim nie widzieli wyższości. Liczny orszak dworzan, blask berła i korony, nie wznieci nigdy tyle prawdziwego uszanowania,

ile prosta cnota, innéj nie mająca świetności nad własną. Zaraza występku równie szybka jak morowego powietrza, i stokroć niebezpieczniejsza, w oka mgnieniu z pod murów Kijowa, do Polski się przeniosła. Polska już od lat kilku była bez wodza, młodzież dorastająca bez dozoru, płeć słaba bez podpory, poddaństwo bez zwierzchności. Prawie wszyscy wodzowe i żołnierze na Rusi z królem będący, żony zostawili w domu. Bez wsparcia, bez opieki, kobiety, których jeszcze ugruntowana nie wstrzymywała wiara, które przykład mężów niejako usprawiedliwiał, ośmieliły się z prawéj zboczyć drogi. Niektóre uwierzywszy zmyślonéj małżonków śmierci, w powtórne weszły śluby; drugie... co z wstrętem wyznać przychodzi, żadnych nie zachowały pozorów! Jednak dla serc czułych pociechy, w téj czarnéj występku nocy zajaśniało światło cnoty; znalazły się białogłowy skromne i wierne, a kronikarze dawni o jednéj z szczegółami wspominają.

Małgorzata z domu Strzemieńców, żona Mikołaja dziedzica na Zembocinie, wsi niedaleko Proszowic leżącéj, była tą niewiastą. Małgorzata jaśniała wtedy młodością; twarz jéj wierny obraz pięknéj duszy, już innéj od przyrodzenia nie potrzebowała ozdoby: szlachetna postawa, wdzięk każdego ruszenia, zdradzały starowne wychowanie, słodycz i dobroć serca. Ledwo pietnastą widziała wiosnę, gdy Bronisław jéj ojciec umarł z ran za ojczyznę odniesionych i z zimnym głazem, pod którym już od lat kilku ulubiona spoczywała małżonka, okrytym został. Troskliwy o los pięknéj Małgorzaty, zasłużony rycerz umierając, oddał ją za żonę już sędziwemu Mikołajowi z Zembocina, dawnemu towarzyszowi broni, przyjacielowi od dzieciństwa, synowi prawemu ojczyzny, bez strachu powierzył gasnący ojciec, skarb najdroższy jego sercu.

Trudność zgodzenia wiosny z jesienią, różnica między skłonnościami młodego i sędziwego wieku, nie wstrzymały Bronisława w zawarciu tego związku. Wiedział, że Małgorzata gwałtowną miłością Mikołaja kochać nie będzie, że w gronie rycerzy uczęszczających w gościnnym Polaka domu, poznać może późniéj młodziana, któryby ją w jéj sercu prędzéj mógł wzniecić; lecz wiedział także, że cnota droższą była Małgorzacie nad wszystko; znał serce córki, bo go sam ukształcił; przekonany był, że powinności wszystko poświęcić potrafi, i w tém poświęceniu szczęście swoje znajdzie. Już będąc na śmiertelném łożu, przedstawiwszy jéj, na jakie ją niebezpieczeństwa wiek młody i stan sieroty narażał, żądał aby Mikołajowi oddała swą rękę. Przyzwyczajona słuchać ślepo rozkazów ojca, ledwo chwilę wachała się Małgorzata; lubo sędziwy rycerz w niczém nie był podobny do przedmiotu, zajmującego młodą wyobraźnię, dogodziła woli Bronisława.

Ślub jéj tak nagły, zgon ojca, żal, zdziwienie, nie dozwoliły jéj czas jakiś zastanowić się nad swym losem, ale gdy minęło tygodni kilka, gdy jéj boleść cokolwiek zmniejszoną została, ogarnęła dopiero całe położenie swoje, i ujrzała zniszczenie wszystkich urojeń młodocianego wieku. Lecz Małgorzata między występkiem i cnotą wybierać nie mogła; uczyniła stałe przedsięwzięcie nietylko wierną być małżonkowi, ale uszczęśliwić go i tak postępować, aby się nigdy nie domyślił, iż zniszczył sny czarujące szesnastoletniéj wyobraźni. Wkrótce, dopełniając ściśle obowiązków swoich, zapomniała zupełnie, iż niegdyś żywszéj spodziewała się pomyślności. W zacnym Mikołaju utraconego znalazła ojca i najlepszego przyjaciela, w cnocie i zadowolnieniu sumienia zgubione na pozór szczęście. Dni jéj dzielone między staraniami, których uszczęśliwienie małżonka, pomyślność włościan, utrzymanie wielkiego domu wymagały, od lat kilku płynęły nad wyraz mile i spokojnie, kiedy odgłos wojny doszedł do Zembocina i zmięszał spokojność cnotliwych jego mieszkańców. Pod dowództem walecznego króla, garnęła się młódź polska; zasłużeni rycerze, chciwi nowych wawrzynów, zazdrośni już zdobytéj chwały, szli do boju, chwytając niedawno złożone oręże. Nigdy ucho Polaka głuchém na głos sławy nie było; skoro go usłyszał Mikołaj, choć tak był szczęśliwy w domowém zaciszu, choć stargane już miał cokolwiek siły obozowymi trudami, nie dał się nikomu uprzedzić. Ozdobiony pasem ręką pięknéj Małgorzaty szytym i łzami jéj skropionym, zabrawszy hufiec swoich rycerzy, stanął z pierwszych przy królu. Nowymi laurami okrył się tak na Rusi, jak w Przemyskiéj ziemi; óbronny dobrze ugruntowaną cnotą, z kilku towarzyszami broni oparł się w Kijowie, powszechnemu zepsuciu. Jeszcze w Krakowie obiecał królowi, że go nie opuści, póki do kraju nie wróci; wierny słowu, udać się do ojczyzny nie myślał, i choć rady, przestrogi, jakie zapalczywemu Bolesławowi dawać się ośmielał, dotąd bezskutecznemi były, miał zawsze nadzieję, że usłyszy nareszcie monarcha głos przyjaźni i rozsądku, oddali się z ruskiéj stolicy, i dozwoli rycerzom wrócić do domowego szczęścia.

(Dokończenie nastąpi).

ŁZA ŻALU.

(Niby legenda).

Mahomet*) ów sławny żył jeszcze na ziemi,
A często zaglądał do nieba —
Co widział, wiadomo — lecz między innemi,
Jedno nam nadmienić potrzeba.

Raz kroczy do raju — i w bramie spotyka
Człowieka w bogatem okryciu,
Który rzewnie płacze — łzy gorzkie połyka...
Choć pewnie szczęśliwym był w życiu.

„Czegóż ten człek płacze? Mahomet się pyta,
„Przy bramie klucznika świętego —
„Czy mu jasność boża nigdy nie zawita?
„Cóż on też uczynił tak złego?...

„Wy mu zamykacie do raju swe wrota,
„On biedny i stoi i płacze na dworze —
„Jeżeli złym człekiem... jeżeli niecnota...
„Daruj mu przewiny o Boże!“

A na to nasz święty odrzeknie w te słowa:
„Sprawiedliw Bóg zawsze i wszędzie,
„Piątego już wieku upływa połowa,
„On stoi tu biedny... stać będzie.

„Za życia miał wszystko: — bogactwa roskosze;
„Lecz serca, litości — za mało;
„Żeby choć miłości posiadał potrosze,
„Toby się tak było nie stało.

„Lecz właśnie nie kochał ni brata — rodzica,
„Nikogo zupełnie na świecie —
„Przeto jemu jasność boża nie przyświeca,
„Bo kochać... należy się przecie(ż).

„On mając pieniądze — drwił sobie z miłości,
„Wszak złoto przyjaciół dostarcza —
„Nie wspierał biednego i nie znał litości,
„Za to go ta kara obarcza.

„A że nie miał serca — nie kochał nikogo,
„Więc nikt go nie kochał nawzajem —
„Za to teraz właśnie pokutuje srogo,
„I wzdycha nadarmo za rajem.

„Gdy umarł... nikt jednej nie wycisnął łezki,
„Bo łzy tylko miłość porodzi;
„Nikt go nie żałował do grobowej deski,
„A każdy ze wstrętem odchodzi.

„A niebo zamknięte dla tego człowieka,
„Po którym nikt płakać nie może,
„Po którym ni jedna zwilżona powieka...
„Ach! takie to prawo jest boże!“

Słysząc to Mahomet — litością wiedziony,
Nad dolą nieszczęsną człowieka —
„Łzę żalu uronił“ — że szczęścia korony
Ów biedak nie zazna... choć czeka.

I anioł bieluchny natychmiast się zjawia,
Z radością człekowi tak prawi:
„Bóg ci wiekuisto już szczęście objawia —
„Bo oko za tobą się łzawi!“

I jedna ta łezka zbawienie mu niesie,
I raju otwiera mu wrota —
Bo w sercu zrodzona... a nie w interesie...
A z serca żałować... **to cnota!**

Powiastka to tylko — ale w niej nauka
Prawdziwa się mieści dla ludzi:
„Cnót — serca — litości niech człek w sobie szuka
A miłość dla siebie — obudzi.“

Franciszek Marzec.

*) *Mahomet* (zwany także Muhamedem) ur. r. 571 po Chr. w Mece, w głównem mieście Arabii, ze znakomitej, lecz nie zamożnej rodziny Kureisz. Wcześnie stracił ojca, a potem dziadka, wychowywany przez wuja, budził wielkie nadzieje, bo zdradzał wielkie talenta. Jako nie zamożny był kupczykiem u pewnej bardzo bogatej kupcowej, która widząc w nim sprężystego i tęgiego kupca, poślubiła go lubo znacznie od niego starsza. Jako bogaty teraz kupiec, jeździł w dalekie strony po towary i spotykał się tak z chrześcianami jak żydami a chociaż poganin słyszał często gęsto, tak o Mojżeszu, jak o Jezusie. Lecz ani religia mojżeszowa, ani chrystusowa nie wystarczała dlań; inną religię, która od jego nazwiska, zwie się *Machometańską* czyli *Islamem* i jest złożeniem tak religii mojżeszowej jak religii chrześciańskiej w pewnej części. Religię swoją ogłosił r. 622, umarł zaś r. 632 i jako twórca religii, jest uważany przez Arabów i Turków za takiego świętego, który jeszcze za życia bywał od czasu do czasu w niebie, tak utrzymują Turcy.

To i owo o naszéj ziemi.

(przez Konstantego hr. R....)

(Ciąg dalszy).

Morze całe, ogromne, niestanowi atoli jednostajnéj przestrzeni — jest ono bowiem poprzedzielane tu i owdzie stałym lądem i często wkrawa się w takowy, tworząc tak nazwane zatoki. Dla tego morze tworzy kilkanaście części, które w nauce geografii są znane pod różnemi nazwami. Największe atoli części morza, tak zwane Oceany, są: 1. Atlantyckie, odziela Europę i Afrykę od Ameryki, 2. Spokojne czyli Ciche, oddzielające Amerykę od Azyi i Australii, i 3. i 4. Podbiegunowe, na północnym i południowym ziemi biegunie — prócz tych, jest jeszcze dużo mniejszych mórz, rozmaicie nazwanych. Tak macie w Europie: Śródziemne, Azyatyckie, Baltyckie, Połnocne — w Afryce: Gwinejskie, Czerwone — w Azyi: Indyjskie, Perskie, Żółte, Malajskie — w Ameryce: Zatokę Mexykańską.

Morza mają rozmaitą głębokość, od 5 sążni znajdują się głębiny w morzu prawie niezmierzone — te głównie na południowéj stronie naszéj ziemi się znajdują; atoli największą głębo-

kość zmierzono coś więcéj nad 7000 sążni, a więc przeszło na $1^3/_4$ naszéj mili. Wielkie to jest dobrodziejstwo, jakiem Opatrzność ziemię obdarzyła, tworząc morza tak ogromne. One bowiem regulują temperaturę czyli ciepłotę na ziemi, t. j. morza sprawiają, że na kuli ziemskiéj nie ma takiego zimna, żeby miało wszelką żywotność zniszczyć, ani takiego gorąca, żeby miało wszystko co żyje, spalić. One to miarkują ciepłotę ziemską, i sprawiają, że w niéj ludzie, zwierzęta, rośliny etc. mogą swobodnie żyć i mnożyć się. Że morza, jako zwykła woda, wciąż się poruszają, i przezto tworzą się mgły i chmury, które przemienione na deszcz, utrzymują roślinność w sile do ich wzrostu potrzebnéj, i zasilają źródła, rzeki i t. d., które dla istnienia ludzi i zwierząt są koniecznie potrzebne, wiemy podobno wszyscy, bo pomyślcie sobie tylko, coby się stało z nami, gdyby tego nie było! Morza, jakkolwiek rozdzielają stałe lądy, ale nastręczają większą łatwość łączenia się ludzi za pomocą żeglugi — niema bowiem prędszéj, tańszéj i łatwiejszéj komunikacyi, tak ludzi między sobą, jak też w sprowadzeniu różnych towarów, jak drogi morskie. Tysiące okrętów żaglowych i setki statków parowych krąży nieustannie, w dzień i w noc po wszystkich morzach, rozwożąc z jednych części ziemi do drugich rozmaite płody.

Tak Ameryka przysyła nam na okrętach ogromne ilości zboża, a mianowicie pszenicy, przez co ceny tejże w Europie znacznie się zniżają, co sprawia, że nawet w latach nieurodzajnych ceny jej nie mogą być bardzo wygórowane, przez co lata głodu u nas są niemożebne — co jeszcze przed niedawnym czasem, kiedy Ameryka nie wydawała tyle zboża, jak dzisiaj, i gdy żegluga morska nie była tak rozpowszechniona, często się zdarzało. Ameryka i Azya przysyła nam wielką ilość cukru, kawy, herbaty, które u nas wcale się nie rodzą. Nawet z Ameryki w ostatnich czasach dostarczają na okrętach zwłaszcza do Anglii i Francyi mięso, które tak dobrze na okrętach parowych zachować umieją, że takowe po 10—12 dniowéj żegludze zupełnie świeże przychodzi do Europy. Prócz tego, morza dostarczają mnóstwo ryb na pożywienie ludzi. Tysiące statków żaglowych wyjeżdża rok rocznie z Anglii, Francyi, Szwecyi, Niemiec na połów rozmaitych ryb, głównie atoli wielorybów i cieląt morskich, których tłuszcz jest przeważnie artykułem handlu. Śledzie, których głównie w poście używamy, poławiają się wyłącznie w morzach, i to rok rocznie na miliony beczek. — Widzicie więc jakie to korzyści morza dostarczają ludzkości!

Jak z jednej strony morza nastręczają ludziom tyle korzyści, tak z drugiej strony nierzadko dają się im we znaki. Gdy w skutek silnych wiatrów morze się rozhuka, piętrzą się bałwany do wysokości 30 do 50 łokci — przez to morze występuje na lądy nadbrzeżne, wdziera się z wielką gwałtownością na przyległe pola, miasta — niszczy takowe, czasem ze szczętem, rozwalając domy i unosząc ludzi, bydło, sprzęty i wszystko co w swéj wściekłości napada, razem ze sobą na głębiny — zalewa całe wyspy, jeżeli takowe nie są dość wyniesione nad poziom morza — i rujnuje całe łany zboża, plantacye cukru, kawy — co nierzadko w Ameryce, Azyi i t. d. się dzieje. Gdy taka burza morska, tu i owdzie nazwana Orkanem, Tejfunem, napotyka okręta, czy to gromadnie czy pojedynczo płynące, czy one są żaglowe czy parowe, porywa je ze sobą, rozsypuje po wielkim przestworze, miota niemi jakby łupinami z orzechów — szczęście jeszcze dla takiego okrętu, jeżeli go to spotka na wysokiem, otwartem morzu, bo zwykle takowy wytrzymuje bezszkodnie największe burze, które często gęsto mu żagle obedrą lub maszty połamią, ale przecie po kilku lub kilkunastu godzinach, gdy folgują lub całkiem ustają, okręt taki, jakkolwiek ma żagle podarte lub maszty połamane, zreperuje co mu burza zepsuła, i dąży dalej szczęśliwie do najbliższego portu lub przystani, aby wysadzić ludzi, których wiezie z daleka, lub zładować towary, które przywozi z innych części ziemi — ale biada! takiemu okrętowi, jeżeli w bliskości na morzu znajdują się skały lub brzegi lądu sterczące skałami, lub tak zwane mielizny, t. j. płaszczyzny piaskowe ledwie parę stóp leżące pod powierzchnią morską — taki okręt porwany przez gwałtowny prąd, morze rzuca o te skały, lub wpędza i osadza na mieliźnie — i tłucze go tak gwałtownie pokrywając go bałwanami, że okręt pęka, nabiera wody i wszystko ginie, co żyje na nim. Burza potem rozbija na szczątki i drazgi ugrzęźnięte na mieliznach lub skałach okręty i wyrzuca to wszystko na przyległe brzegi, wraz z utopionymi ludźmi, sprzętami, towarami, o ile takowe przez swą ciężkość nie poszły na dno morskie. Często się takie katastrofy zdarzają — były wypadki, że okręt jakiś wyjechał n. p. z Anglii lub Francyi do Ameryki, lub Azyi, lub przeciwnie — o tem wiedzieli ludzie przez telegraf podmorski, których jest dużo pozakładanych na dnie morza, między poszczególnymi krajami i różnemi częściami świata — tu wyglądają przybycia takiego

okrętu na pewny dzień, cieszą się przyjaciele, krewni, na przybycie drogich im osób, a tu tymczasem okrętu niewidać, mija dzień, tydzień, miesiąc, ba nawet i więcéj, a tu okrętu jak niewidać tak niewidać, jak kamień w wodę wrzucił, oczywiście gdzieś się rozbił na pełnem morzu, bez śladu, bez świadka, coby o tem mógł powiedzieć — dopiero w rok, we dwa lata, a czasem i później jakiś okręt płynący gdzieś napotyka na pełnem morzu deskę, lub beczkę, lub jakiś sprzęt — i poznaje, że to należy do tego lub owego okrętu, co wtenczas gdzieś bez śladu zginął. Trzeba Wam bowiem wiedzieć, że każdy okręt ma pewną nazwę, liczbę, oznakę, i te bywają na każdym sprzęcie, prawie na każdéj desce wybijane — więc żeglarzom obznajomionym z tem łatwo się domyślić, do jakiego to okrętu należy, kiedy co przypadkiem na morzu napotka. Tak było już dużo wypadków, gdzie takie okręty żaglowe i parowe, mające po pareset a nawet po kilkaset ludzi na pokładzie, ginęły bez śladu. Są to ofiary, które nienasycona paszcza Oceanu połknęła, a jednak któżby z nas zgodził się na to, aby morza nie było? bez tego nie byłoby życia na ziemi, tak jakby nie było życia w ludzkości, gdyby krew w ludziach wyschła lub skrzepła. Opatrzność tak zrobiła, to tak musi być najlepiej, my ani chcieć nie możemy, aby było inaczéj; musimy się więc z tem zgodzić, zwłaszcza, że tego odmienić nie potrafimy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dział przyrodniczo-ekonomiczny.

I. Nauki przyrodzone.

(Ciąg dalszy.)

O ZIEMI I O POWIETRZU.

(przez L. z L.)

Od czasów stworzenia ziemia uległa bardzo wielu przemianom, zanim jej powierzchnia stała się taką jak ją dzisiaj widzimy. Ostatniem wydarzeniem, które największy wpływ na jej dzisiejszy stan wywarło, był potop powszechny. Ślady tego potopu widoczne są wszędzie, tak w składzie skorupy ziemskiej, jako też w warstwach głębszych. Na wyspach i przy ujściach rzek północnych, gdzie największe zimno dzisiaj panuje, znajdowane są kości i całe szkielety zwierząt, które tylko w krajach gorących żyć mogą, a które więc, albo przy potopie wodą zaniesione zostały, albo przed potopem gorąco tam być musiało. Wykopują tam także zwęglone drzewa palmowe, które rosną tylko w krajach gorących. Po górach i w składzie skał znajdują się muszle, ryby i rośliny morskie skamieniałe, które najdowodniej okazują, że tu, gdzie dzisiaj jest ląd stały i wysokie góry, było niegdyś dno morskie. Do utworzenia się więc teraźniejszej powierzchni ziemi, ogień i woda najbardziej się przyczyniły, a według tego, jak przeważał jeden z tych żywiołów lub drugi, tworzyły się zwierzęta, rośliny i kruszce. Naszą Ojczyznę zaopatrzył Pan Bóg bardzo sowicie w to wszystko. Na powierzchni mamy ziemię urodzajną, dostatek wszelkiego rodzaju różnych zwierząt i roślin, a w głębiach jej rozmaite ziemie, kamienie i kruszce. Srebra dotąd mało, złota wcale w ziemi naszej nie znaleziono, ale za to są w niej niewyczerpane pokłady żelaza, miedzi, ołowiu, cynku, marmurów, kamiennego węgla, wapna, siarki, soli i mnóstwo innych rzeczy nieocenionej wartości. Tak jest z ziemią, a teraz co do powietrza i tego wszystkiego, co jest po nad ziemią. Po nad głowami naszemi widzimy słońce, księżyc i nieprzeliczone gwiazdy, na milijony milijonów mil od ziemi odległe; o tych w innem miejscu powiemy, — tu obejrzymy pokrótce bliższe ziemi zjawiska powietrzne, jakiemi są: chmury, mgła, deszcz, rosa, śnieg, grad, błyskawica, grzmoty, pioruny, tęcza i zorza.

Chmury. To, co po nad ziemią i po nad nami, w postaci chmur czyli obłoków widzimy, to są wyziewy wilgotne ziemskie unoszone wiatrem, i za każdym powiewem jego zmieniające się w rozmaite kształty. Chmury te nie leżą tak wysoko, jak to na pozór wydaje się, — zaledwie na ćwierć albo półmili, a najwięcej na jedną milę. Ludzie mieszkający na wysokich górach, często znajdują się po nad chmurami, tak, że nieraz widzą, iż kiedy na dolinach ciemno i deszcz, to u nich słońce świeci i najpiękniejsza pogoda. Jak chmur, czyli wyziewów wilgotnych w powietrzu niéma, to niebo przedstawia się błękitnie, i to jest kolor powietrza, którem oddychamy. Rozmaitość w kolorach chmur powstaje z rozmaitego ich położenia względem światła dziennego lub nocnego, mniejszej albo większej ich gęstości wodnistej: oraz siły i kierunku wiatru.

Mgła. Ta tworzy się po nad samą ziemią z wyziewów wydobywających się z miejsc wilgotnych i zgęszczających się ku schyłkowi dnia. Pomiędzy mgłą a chmurą, ta jest tylko różnica, że mgła cięższą jest od chmury, to też jak mgłę ciepło słoneczne rozgrzeje, to ona podnosi się w górę, czyli ulatnia się, i tworzy obłoki czyli chmury.

Deszcz. To, co nazywamy deszczem, to jest mgła czyli woda zgęszczona w chmurach przez zimno, i tym sposobem zamieniona na krople spadające na ziemię.

Rosa. Są to także kropelki wody zbierające się pod wieczór i przez całą noc, szczególniej na roślinach przy samej ziemi położonych, a pod gołem niebem rosnących. Rosa nie pada z nieba, czyli z obłoków, albo chmur, jak to niektórym ludziom zdaje się, ale tak samo tworzy się z wyziewów ziemskich jak mgła i chmury, tylko niżej jeszcze od nich, przy samej ziemi, podobnie jak to dzieje się na szybach okna, kiedy ciepło w izbie, a zimno na dworze. Rosa oświecona słońcem lub odbitem od słońca światłem księżyca, błyska jak brylanty albo perełki, a przytem nadzwyczajnie dobroczynny wpływ wywiera na wszystkie rośliny.

Śnieg, jak to wyżej powiedziało się, jest to woda lekko zmrożona, i w postaci płatek spadająca na ziemię.

Grad zaś, jest to woda, czyli krople deszczu na twardy lód zamienione, a zachowujące postać swoją wodnistą; stąd są różnej wielkości i różnego kształtu, — prosa, grochu, orzecha, często jaj gołębich, kurzych, a czasem nawet gęsich i większych. Gdyby te krople wody nie były na lód zmarzły w powietrzu, to spadłyby na ziemię w postaci śniegu, albo deszczu drobnego, wielkiego lub też ulewnego, stosownie do ich wielkości i ilości.

Błyskawice, Grzmoty i Pioruny, są to skutki ognia w powietrzu, który w niem, tak jak w kamieniu, w żelazie,

w zapałce, słowem znajduje się wszędzie; a huk przytem słyszany, jest to jak huk pochodzący ze strzelby ręcznej, albo z działa czyli z armaty i to są grzmoty.

Tęcza nakoniec i *Zorza* tworzą się z promieni słońca, tak jak nad ziemią w kroplach rosy na roślinach perełki, odbywających się w kroplach wodnych, deszczowych albo śnieżnych w powietrzu.

Rozmaitości.

Nowa plaga. Jak donosi jedna z gazet z Wągrowa, na polach gminy Raczkowa w Wielkiem Księstwie Poznańskiem pojawił się w tych dniach w milionowych masach mały owad, podobny do muchy, który już zniszczył całkiem 30 morgowy zasiew owsa. Owad zagrażał d. 16 b. m. także sąsiednim gminom, a niebezpieczeństwo jest tem większe, iż nikt nie wie, zkąd ten nowy wróg rolników nadciągnął i że pomimo małych rozmiarów ciała robaczek z Raczkowa jest tak samo żarłoczny, jak szarańcza.

Szarańcza pojawiła się jak donoszą z Prus w wielkich rojach na polach wsi Mamlice i Augustowo, niedaleko granicy powiatu inowrocławskiego, kierując się ku zachodowi na Lubostroń i Obielewo. Władze pruskie zarządziły wszelkie środki, celem wytępienia strasznego owadu. Jak się zdaje szarańcza nie przybyła tam z sąsiedniego Królestwa Polskiego, lecz pochodzi z jaj po rojach, które w roku zeszłym nawiedziły niektóre okolice Księstwa. Według dzienników rosyjskich szarańcza grozi zniszczeniem gubernii Elizabetpolskiej. Z początku zachowały sie tam władze i ludność obojętnie w obec zagrażającej klęski i nie przedsięwzięły nic do wytępienia szarańczy, to też wkrótce rozmnożył się ten owad niezmiernie, wtargnął nawet do ogrodów miejskich, zaczął niszczyć winnice i wszelką roślinność, a ulice i dziedzińce pokrył grubą warstwą. Kiedy nareszcie zarządzono tępienie owadu, lud prosty, po największéj części mahometański, pełen przesądów, nie chciał brać udziału w tej pracy, uważając za grzech tępienie szarańczy. Policya wydała przeto rozkaz, że każdy mieszkaniec winien dostawić w pewnym przeciągu czasu dwa pudy zabitej szarańczy. Wszystkie kanały napełnione są tym owadem, tak, że wody pić nie można. Wiele rodzin nie mogło przez cały tydzień ani gotować, ani chleba piéc, gdyż domy i piece przepełnione były owadem. Duchowieństwo uważało tę klęskę za karę boską i odprawiało cały tydzień nabożeństwa dla odwrócenia tej kary. Archimandryta z duchowieństwem i deputacyą ludu udał się do kościoła wsi Gorasznad i wziąwszy ztamtąd relikwie św. Jakóba w procesyi obnosił je naokoło miasta. Wszędzie pełno było zabitej szarańczy, która gnije i powietrze wyziewami zaraża, zkąd łatwo powstać mogą różne choroby.

Szarańcza w ogromnych masach wylęgła się świeżo także w powiecie teodozyjskim, na półwyspie Krymskim. Zarządzone ze strony władz miejscowych środki ostrożności pozwalają wnosić, że klęska nie rozszerzy się po za półwysep rzeczony. Część większą strasznego owadu wytępiono, nim młoda szarańcza dostała skrzydeł. To, co z niej ocalało, według sprawozdania rządowego „dotkliwej szkody wyrządzić już nie może.“

Wylew rzeki Padu we Włoszech był tak wielki, że woda przed końcem lipca zapewne nie ustąpi z zalanych okolic. Zasiewy są prawie zupełnie zniszczone, a co jeszcze fatalniejsza, pomiędzy ludnością nawiedzonych powodzią wsi pojawiać się zaczynają rozmaite zaraźliwe choroby, wywołane gniciem ciał organicznych. Tak zwana Pellagra porywa liczne ofiary z pośród zbiedzonych i na siłach wycieńczonych mieszkańców.

Cudowna kobieta. W Paryżu znajduje się młoda kobieta, Amerykanka, nazwiskiem Teresita Patchwork, którą natura obdarzyła trzema parami rąk i dwiema parami nóg. Ten nadzwyczajny fenomen jest żyjącym, kompletnym kwartetem. Teresita siedząc gra dwiema rękami na fortepianie, dwiema drugiemi wykonywa z wielkim talentem partyę skrzypcową, trzecią parą rąk, którą ma z tyłu, gra na altówce a za pomocą czterech nóg wyborne odgrywa akompaniament na wiolonczeli. Ten żywy kwartet zamierza dawać w Paryżu koncerty, albo występować na którym z teatrów. Miss Teresita Patchwork przed rokiem odziedziczyła 250,000 fr., które jéj zapisał w testamencie bogaty lord M., któremu odmówiła jednej z swoich rąk. (?)

ANEGDOTKA.

Pewna pani kupowała w sklepie okulary, przez któreby mogła dobrze czytać. Widząc to pewien wieśniak, pobiegł natychmiast do domu, wziął jakąś książkę do kieszeni — a przybiegłszy do tego samego sklepu, rzecze do kupczyka:

„Pokażcie no mi jakie dobre okulary do czytania“.

Kupczyk pokazuje jedne, drugie, trzecie... dziesiąte, wieśniak przez żadne na owéj książce czytać nie może — i każe sobie jeszcze inne pokazać.

„A bo wy może człowieku czytać nie umiecie“, rzecze nieco z niecierpliwiony kupczyk.

„Ba, jakiś ty głupi“, odparł z gniewem wieśniak — „gdybym umiał czytać, tobym nie kupował okularów do czytania“!

Franciszek Marzec.

OGŁOSZENIE.

Szanownych Rodziców i Opiekunów, którzy bawią za paszportami na feryach w Cesarstwie Rosyjskiem, a którzy swoje dzieci pragną oddać do szkół Krakowskich, czy początkowych czy średnich od I. września b. r. zawiadamiamy, że stosownie do oświadczenia naszego w Nr. 12. Zagrody (dla Galicyi) chętnie Redakcya podejmuje się sumiennego i uczciwego pośrednictwa celem należytego umieszczenia uczniów w Krakowie. Jestto bowiem rzeczą sumienia, a może nie najmniejszym względem kraju obowiązkiem organu, który choć ludowy, ma jednak głos publiczny, dobrym chęciom Rodziców i dzieci przyjść jeżeli nie z pomocą, to z radą, a przynajmniéj ostrzedz na czas, na jakie siebie, dzieci i kraj narażają niepowetowane straty przez niedość rozważne i przezorne lokowanie swych dzieci jako uczniów po większych miastach. Listownie (franco) prosimy zgłosić się do Redakcyi, a zaraz damy odpowiedź.

Właściciel, wydawca i odpowiedzialny redaktor: Aleks. Kroll.

Druk W. Korneckiego.